Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Konto czekowe Poczt. Kasy Oszczędności Nr. 150.709. **Cena N-ru 80 Mkp.**

Wydawn. ROK 54. KRAKÓW, DNIA 9. LIPCA 1922. Nr. 28.

DJABEŁ

Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ"
WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 80 Mkp.

PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
MIESIĘCZNIE 300 MKP.
Cena egzemplarza 80 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

ZABAWA W MINISTERJUM.



Kandydat. Panie plezydencie, i jabym się chcial zabawić w ministla — zlób mnie pan ministlem oświaty, bo go jesce nie masz.

Prez. min. Śliwiński. Dobrze, mój kochany, ale czy ty posiadasz autorytet?

Kandydat. Nie mam, ale go sobię pożycę od Maljanka Dąblowskiego

Całoroczna prenumerata w Ameryce kosztuje 4 Dol.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prenumerata Tygodnika „Djabeł" wynosi wraz z przesyłką pocztową miesięcznie 300 Mkp.

Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:
Władysław Borkowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

NOWY MINISTER SKARBU.

Każdy kandydat na ministra skarbu
Tak dziś, przed rokiem i przed dwoma laty,
Nim przyjął tekę, albo ją odrzucił,
Stawiał warunki, program, postulaty,
Wiedząc, że na tym doniosłym urzędzie
Odpowiedzialność ciążyć na nim będzie.

Nowy minister nie poszedł tą drogą:
Przyjął odrazu propozycję miłą,
O postulatach, programie, warunkach,
I innych głupstwach ani mu się śniło.
Mówcie co chcecie, ale fakt ten nagi
Dowodzi, że to... mąż wielkiej odwagi.

WYPIS Z AKTÓW RZECZYPOSPOLITEJ BABIŃSKIEJ.

Anno 1922 d. 28 Junii. Przi bytności siełu urzennikow y dygnitarzow babinskich Jego M. pan Wesolowski powiedział iss Academia Scientiey w Krakowie mianowała jednego architekta nadwornym pictorem i dała mu proemium za najlepszy obraz jaki w Polszcze łońskiego roku namaliowano, chociaż on architekt pictorem nigdy nie był.

Quapropter Republica babinensis conferuie Jego Moszczi urząd weredyka babińskiego, bo chociasz *omnis homo mendax,* to tak trefnie uczoności Akademiey nikt nie uszczknął. Actum et datum in Babin 30 Junii.

Z CHWILI.

W Warszawie (jak opowiadają) zeszli się na śniadanku p. minister rolnictwa z p. ministrem handlu i przemysłu. Śniadanko było nieźle „podlane" więc wychodząc z restauracji ministrowie pomylili się w autach i pana ministra rolnictwa zawieziono do ministerstwa handlu, a p. ministra handlu do ministerstwa rolnictwa. Każdy z nich przez kilka godzi „pracował" w „swym" biurze— a urzędnicy nie okazali zdziwienia, pewni, że przy rekonstrukcji gabinetu szefowie ich pozamieniali się na teki.

———

Ill. Kurjer codzienny słusznie podnosi (nr.169) wygórowane żądania na naszych letniskach. Ale to jeszcze nie racja, aby prowadzić agitację za „badami" niemieckiemi i czeskiemi. A Kurjer pisze dosłownie:

„Niemieckie „bady" nadmorskie czy górskie kosztują taniej niż pobyt w Zakopanem, a co za różnica komfortu! W drogiej wysokowalutowej Czechosłowacji całodzienne utrzymanie w Starym - Szmeksie najwykwintniejszem z uzdrojowisk kosztuje 46 kor., czyli około 3.500 Mkp. Ale za tą sumę ma się co innego, niż trzykrotne mizerne pożywienie podane u nas z dodatkiem grymasów i fochów. Zwolennicy morza południowego znajdą na rivierze dalmatyńskiej za cenę 3.000 Mp. dziennie pierwszorzędny pensjonat no i kawałek prawdziwego morza! W tych warunkach opłaci się już wystaranie się o paszport i wizy. A fakt, że się wychodzi trochę z kotłowiska codziennej dulszczyzny i kołowacizny, także coś wart"!

Kurjer więc radzi wyjść z dulszczyzny, kotłowizny i... ojczyzny. Niech sobie Czesi i Niemcy zarobią. Stać nas na to. *A to patrjota!*

———

W poprzednich nrach „Djabła" podaliśmy pocieszające dowody „wytrzeźwienia" na punkcie footbalu.

Niestety obok dziennikarzy trzeźwych, występują i... nałogowi.

Takim jset p. Z. B. autor artykułu: „Jak spopularyzować sport", umieszczonego w Rzeczypospolitej.

Pan ten biada okrutnie, że „słowo to wśród szerokich sfer nie jest jeszcze żadnym magnesem"... Zainteresowanie się sportem wzmogłoby się gdyby przyłączył się „jakiś nowy sentyment, czy ambicja, choćby zawodowa". Wszak mamy związki literatów, aktorów, lekarzy, urzędników, adwokatów, architektów i tp. — każdy w swem gronie liczy po kilkunastu ludzi młodych, którzyby mogli stworzyć drużynę lekkoatletyczną czy piłki nożnej".

Według więc p. Z. B. „ambicją zawodową" literatów, adwokatów, lekarzy i td. powinno być kopanie piłki! Oryginalna ambicja!

Niestety (biada p. B.) tylko dentyści lwowscy tę ambicję posiadają, utworzyli bowiem wśród siebie dwie drużyny piłkonożne. „Brawo dentyści lwowscy!" woła p. B. i wyraża nadzieję, że ich warszawscy koledzy, zechcą pójść w ślady lwowian". Powinien był jeszcze podnieść niesłychaną bezinteresowność dentystów, boć przecie footbal czyni im poważną konkurencję: wybija zęby, bez pomocy dentystów.

Ale przedewszystkiem nasi policjanci powinni, według pana B. uprawiać sport szybkobiegania, skakania w dal i w zwyż, aby... chwytać przestępców. „To już nie dezyderat, lecz nakaz chwili".

No tak. Tylko kiedy policjanci będą się ba-

wili, sportowali, to złodzieje w tym czasie najwięcej kraść będą.

To jedno. A drugie: złodzieje też pójdą po rozum do głowy i założą swe lekkoatletyczne kluby, których uczestnicy będą prędzej uciekać, niż ich policjanci będą gonić.

Wreszcie p. Z. B. parokrotnie podkreśla, że szybkobiegacze „zdobyli sobie szturmem ulicę". To prawda, ale że pod „ulicą" rozumiemy tłum głupi, bezmyślny, próżniaczy i lubiący się gapić, więc tego zdobycia sobie ulicy nie należy zazdrościć.

Do czego doprowadza obłęd piłkonożny widzimy choćby z tego, że jedno z pism krakowskich w nrze z 6 lipca zaraz po najważniejszych telegramach politycznych umieszcza szereg telegramów z różnych stron świata o meczach footbalowych, a między innemi daje obszerne sprawozdanie z zawodów... w Bochum pomiędzy Węgrami a Niemcami.

ŻEGNAJ ZRAZÓWKO.

Ze strachu się serca trzęsą:
Podrożało znowu mięso!

Będzie je tylko bez troski
Jeść Potocki lub Tarnowski.

Bo niejeden już Radziwiłł
Będzie się ziemniakiem żywił.

Cóż dopiero urzędnicy,
Lub goli kamienicznicy?

Cóż dopiero literaci,
Których źle wydawca płaci?

Patrząc na mięso z oddali
Będą się oblizywali.

Z konieczności, nie z zabawy
Będą jadać jarskie trawy.

A gdy zimne dni nastaną,
Będą żuli słomę, siano.

Gdy każdemu los dokuczy,
Tylko rzeźnik się utuczy.

Co rok kupi kamienicę,
By mieć całą ich ulicę.

Syn jego, dzięki kieszeni,
Z Sapieżanką się ożeni.

A córunia przez ślub w łóżko
Wejdzie, w którem śpi Sanguszko.

Po śmierci mu zaś marmury
Wzniosą syny, zięcie, córy.

A lud wdzięczny na tym grobie,
Ku pamięci wyrżnie sobie:

„Tu leżą rzeźnickie kości,
Panie! użycz im litości"

O duszę prośba nie strzeli.
Bo ją dawno djabli wzięli.

DOBRA OPINJA.

Pewien dziennikarz krakowski, członek redakcji „Kurjera", mąż wielce kochliwy, poznał na kolacji po teatrze, w wesołem kółku, urodziwą aktorkę. Już po dwóch dniach sympatja tak połączyła ich serca, że mówili sobie już po imieniu.

— Mój Loluś — rzekła w dniu trzecim do niego — mam do ciebie prośbę.

— Słucham, moje kociątko.

— Idzie mi o to, abyś przypadkiem nie napisał o mnie czegoś pochlebnego w Kurjerze...

— Dlaczego?

— Bo widzisz, ludzie są domyślni, i wkrótce wszyscy wiedzieliby o naszym stosunku — a ja pragnę zachować tajemnicę...

— Właśnie to byłby najlepszy sposób ukrycia jej przed oczami ludzkiemi. Przecież nikt oddawna nie wierzy w to, co my w Kurjerze piszemy.

Z DNIA.

I.

Suwerennym w sukmanie.

...Jeżeli, brachu, jesteś suwerenny,
To, choćby z ciebie był osioł sześcienny,
Chociażbyś złożyć nie umiał dwóch głosek,
Choćbyś odrzucił najmądrzejszy wniosek,
Ja ci hołd złożę (niech mnie djabłów trzysta!)
Taki ci ze mnie jest legitymista!...

Choćbyś był głupi, brachu, jak kanarek,
Lecz, jeśli dziennie masz tysiące marek,
I piękną, świeżo uszytą sukmanę,
Ja ci bez mydła włazić nie przestanę,
Gdyż (niech mnie, brachu, flanela ogarnie!),
Jeśli być głupim, to już solidarnie!...

Gdy takich głupich, jak trąby słoniowe,
Paruset w jednym budynku się zbierze,
To tylko, brachu, odmawiaj pacierze,
By jaknajprędzej im odjęło mowę!...
Bo, choć są sukman przystrojeni galą,
Bądź pewnym, że coś bez sensu odwalą!...

...Pośród tej pierwszej, wolnej, polskiej wiosny,
Mógł się zestroić akord serc radosny,
. . . .
. . . .
Lecz choć to wszystko na Polsce się skrupi,
Nic nie poradzisz, kiedy ktoś jest głupi!...

II.

Wizyta u „bubków".

...Zaproszony od pewnych bubków na fixe-jour'ek,
Sięgam, brachu, do szafy po stary tużurek,
W którym paradowałem kiedyś do ołtarza,
I w który mnie ubierze dłoń karawaniarza!...

Myślałem, że go włożę dopiero do trumny!...
Aż tu dziś u mych bubków raut wypadł szumny!...
A więc, wyszwarcowawszy buty i wąsiska,
Naciągam na grzbiet zgięty całun tużurczyska!...

Nie zgadłem, choć-em mądry, jak encyklopedja,
Że z tego, brachu, taka wyniknie tragedja!...
Bowiem, ledwo-m przyodział w tę szatę me gnaty,
Ryknąłem płaczem, jakby kończyły się światy!...

...Przez te ostatnie lata tak ci, brachu, schudłem,
Jakbym dziada z odpustu był zniszczonem szczudłem,
Nie „literatem“ przecie, nie byle osobą,
Co już sadła zalała moc burżujom — snobom

Za skórę!... Co mi po tym urodziwym ryju,
Gdy tużur wisi na mnie, brachu, jak na kiju!...
Już od lat kilku żywiąc się niebieską manną,
Ani marzyć, żebym mógł podobać się pannom!...

A więc padłem na bliźkie krzesło, jak z nóg zbity,
I, wyrzekłszy się miłej u bubków wizyty,
Napisałem im pierwsze lepsze „terefere“:
Żem trochę niezdrów, brachu, że mam mizerere!...

U DOKTORA.

— Panie doktorze! zepsułem sobie żołądek i już od dłuższego czasu nie mam apetytu.

— Bądź pan kontent. Teraz wszystko takie drogie.

ZŁOŚLIWOŚĆ.

Pani Klotylda jest bardzo gościnna, ale i bardzo chuda.

— Nie masz pojęcia — mówi stały uczestnik jej jour-fixów do przyjaciela — jak ona dba o każdego z gości. Podzieliłaby się na części, aby tylko każdemu dogodzić...

— W takim razie na każdego wypadłaby bardzo mała porcyjka...

TŁUSTY SARNIOK.

(Opowiadanie śląskie z pod Cieszyna.)

Hań downi, kiedy to cesarstwo austryackie dzierżoł jeszcze tuplowany orzeł w swych pazurach, żył w Skoczylesie, pięknej podgórskiej wiosce, gospodarz Pukała ze swojom żoną Katarzyną. A byli to ludzie skłodani jak się patrzy. Chałpe i gospodarstwo mieli w porządku, ze somsiadami żyli w przykładnej zgodzie i spokoju a jako ludzie dbali i pracowici, mieli co im było potrzeba. No — i tóż byłiby społem żyli jak Ponbóczek we Francji, gdyby ich szczęści, którego im sąsiedzi zowiścili, nie było jednak z jednej strony dziurawe. Całe nieszczęści, wychodziło hań z pańskigo lasu, który tak blizko przytykoł do pola naszego Pukały, że gdy nasz Paweł czopkom chynył, to już była w lesie. W tym to lesie mieszkało ale całe nieszczęści, które Pukałowi życi zatruwało tak, że nieraz klon, aż śmierdziało. Zaledwo jeny borok na wiosne obsadził i obsioł swe pole a zboże, fazole i kapusta niecoś podrosła, to już zające, sarnioki i bażanty miały tam swoje śniodani, objod i wieczerze a wszystko darmo czyli za pucfrak. Setki i tysiące djabłów, które rozgniewany Pukała często do lasu posyłoł, nic a nic nie pomogały a straszoki se słomy i starych szmot do kapusty postawione też ani psu na bude się nie godziły. Dzień lub dwa rozsadzono przysada się jakoś obstoła, ale potem staro pieśniczka się zaś rozpoczyna, co we dnie Kasia zasadziła, to w nocy zające sfrygały, a jednej nocy sarnioki, widząc że straszak jak gęś na jednej nodze stoi a nawet puknóć nimo z czego, na złość Pukały go obaliły.

Jednego dnia, gdy Pukała zaś tak fluchcił, prowie nasterczył się gojny. „Czy se oni, panie gojny — powiedzioł Pukała — myślom, że to na moim gruncie jest jako restauracyo dla zajęcy, sarnioków i bażantów? Pamiętajóm se, jo tego świństwa cierpieć dalej nie bedem“. A gojny się tylko uśmiechał i powiedzioł szpacowicie: „Nie jargejcie się, mój Pukało, jo przecy każdego zająca nie mogę dzierżeć na powrózku. Ale widzicie, mój drogi, jo wom dom dobrej rady. Zróbcie se wysoki a gęsty płot kole waszego pola, lub też nasypcie zającom i sarniokom soli na ogon a dobrze im prętem wymielcie po skórze, to wom ręczę, że to pomoże“. A przytem gojny tak po diobelsku prosto do gzychtu wściekłego Pukały się śmioł, jak gdyby to na odpuście w Sałajce sie byli spotkali.

Od tego dnia gotowało się u Pukały jak w kotle. „Poczkej, ty honcfocie, szak jo cię wyrychtujem aż ci sie płotu i soli odniechce“, odgrażał się a już ani wieczerzy nie patrzoł i poszeł wcześni spać.

Na polu ale było coraz to gorzej, a zwierzyna leśna wyrządzała Pukałowi ze dnia na dzień większe szkody. To też naszemu Pawłowi tego już było za dużo i kupił sobie prawdziwom tuplówke. Celować, strzelać i trafić, nauczył się był już dawniej przy wojsku a więc bił, co mu pod rękę przyszło. Ponieważ ale, gdzie się błysło, tam też i grzmi, dlatego też niebawem nasz strzelec miał gojnych na piętach. Długo ale nie mogli go zdybać na gorącym uczynku. Zawsze się im wyślizynął. Jeden roz byli gojni tuż za nim, ale gdy wpadli do izby, leżał w łóżku chory na umór a Kasia płacząc i wołając na wszystkich świętych, okładała Pawliczkowi głowę zimnemi umszlegami, jak gdyby miał 50 stopni gorączki. A był on rzeczywiście nimocny, ale od strachu. Pół godziny potem wyniesiono trupa z chałpy, ale nie chłopa — Pawliczek bowiem już znów był zdrowy jak ryba — lecz martwego sarnioka, który tymczasem leżoł w drugim łóżku na struzoku. Innym razem, gdy gojni myśleli, że już go mają, leżała znowu Katarzyna pod pierzyną niby w połogu.

Pukała ale co tchu lecioł po hebame a nasi zieloni z gańbą musieli pońść, kaj pieprz rośnie.

Ale roz — kury pos — było z Pukałom bardzo źle.

Było to w niedzielę popołudniu, siedział Pukała w gminnej karczmie przy szklance szarówki i rozmyślał. Wtem patrzy, idzie gojny ku gospodzie. Wtedy Pukała postanowił udawać, że mo opice. Rozłożył więc ręce na stole, położył głowę i społ. Zaledwie to uczynił, przychodzi gojny i siado przy swoim stole, a gospodzki przynosi mu sztwiertke wina. Następnie biere, gazete i czyto. Wtem Pukała zaczyna mamrać jakby we śnie: „Nale, podziwce sie, taki szumny sarniok. Takigo sarnioka żaden jeszcze nie zastrzelił“. Gojny nadstawił uszy jak zajonc i chytoł każde słowo. Pukała ale fantazyrowoł dali: „Gdyby to ludzie wiedzieli, pukliby ze zazdrości. A jakom mo pieknom skóre! Niechom ją se wygarbować i bedem miał potem piekne galaty jak jaki ferster: herszaften nochamol, to bedzie uciecha!“ Gojny teraz mioł dość, wypróżnił co tchu szklonke i wio paszoł a nasz rabszyc śmioł sie do rozpuku. Za godzine już były dwie pikelhauby z gojnem u Pukały. Gdzie ma kozła-sarnioka? pytali“. Kozła — a co mi po nim?“ dziwi się Pukała. „Gdzie jest schowany, chcę wiedzieć“, krzyczy wachmistrz. „No, tam w stodole“, wybełkotoł — udawając przestraszonego Pukała. „A toż pokazać, dalej marsz“, zakomenderował wachmistrz. W stodole doskonale domnianego sarnioka badali a naraz odezwał się wachmistrz: „A dyć to nie jest sarniok, ale zwyczajny cap z chlewka. „No toć tak, panie wachmajsterku — potwierdził Pukała dyć też innego ni mom. Nieprawda, że to kapitalny konsek“. A wachmistrz skokoł ze złości jak wściekły a wrzeszczoł jak oparzony: „Pukało, jak sie możecie odważyć ze mnie, c. k. wachmistrza, robić takiego kiepa. Pamiętejcie sobie Pukało, odezwał się wachmistrz, jeżeli was na kłusownictwie kiedy dopadnę, wtedy was skuję, aż was wszyscy diobli zbierom“.

— Och nie, zaklinoł sie Pukała, to mnie nie znocie. Takich rzeczy jo nigdy nie robim. Gdy mi zajonc lub sarna wlezie do szkody, to bierem pręt i naciągnem mu porzondnie skóre, to pomoże. Rady tej udzielił mi przecież som pon gojny“.

Na to żandarmi i gojny odeszli od Pukały z długimi nosami. A nasz Pawieł dzierżoł sie od śmiechu za boki a wołoł za nimi: „No, bydźcie tam już z Bogem a nie zapomnijcie zaś po drugi roz przyjść do mnie, jeżeli sie wom podobało“. Ale na kłusownictwo już więcej się nie puszczoł, bo mioł wielki strach przed c. k. wachmistrzem.

LXXIII. LIST KACPRA KRUPY,

WSPÓŁPRACOWNIKA „DJABŁA“ z HAGI.

Haga, w lipcu 1922.

Wielebna Redakcjo!

Przed laty mój kolega w gimnazjum zapytany przez księdza katechetę o jeden ze soborów, na którym żadnych uchwał nie powzięto, obawiając się zrazić katechetę, jeżeli rzecz jasno przedstawi, wyraził się: na tym soborze nie wiele i dużo bardzo dobrego uchwalono. Tak samo ja mogę scharakteryzować konferencję w Hadze, bo i tam dotychczas nie wiele, dużo, bardzo dobrego uchwalono. Radzą i radzą, ale nic mądrego nie uradzili. Rozchodzi się przedewszystkiem o to, że delegaci sowieccy Radek i Litwinow żądają, aby mocarstwa Europy dały Rosji pieniędzy. Rzecz jednak natrafia na bardzo wielkie trudności, bo mocarstwa wogóle same nie mają pieniędzy, a nadto do finansów Rosji nie mają żadnego zaufania. Ponieważ wraz z delegatami sowieckimi przybyła do Hagi cała sfora Moskali, zaczęły się pojawiać liczne kradzieże i Moskale propagowali zasady komunistyczne, rząd holenderski postanowił wszystkich Moskali odszupasować do Rosji.

Na zapytanie dlaczego nie pojechałem do Belgradu, by być obecnym przy ślubie króla Aleksandra, gdzie miałem kroczyć w orszaku ślubnym razem z księciem Yorkiem? donoszę, że wobec tego, że Serbia nie wypłaca mi kuponów od losów serbskich, jestem do Serbji zrażony i do brania udziału w uroczystościach ślubnych nie czułem się usposobiony. Narzeczonej jednak króla Aleksandra postanowiłem przesłać prezent. Długo nad tem myślałem, coby posłać? Nareszcie się zdecydowaem, co ją zapewne bardzo ucieszy, posłać jej dwa pięknie oprawne dzieła to jest: Ordynację wyborczą i Ustawę o ochronie lokatorów. Zapytany również donoszę, że dlatego nie objąłem ofiarowanej mi przez ministra Śliwińskiego teki ministra skarbu, bo ofiarować komuś tekę ministra skarbu tam gdzie skarbu niema, uważam za kpiny. Co się zaś tyczy pana Michalskiego, to szkoda, że poszedł w odstawkę, bo jakby zarządził był jeszcze drugą, trzecią, a nawet czwartą dobrowolną daninę, to bezwątpienia nasze finanse zostałyby wyreparowane. Pan Michalski, składając swój urząd, chciał się na długie czasy zapisać w naszej pamięci i dlatego podwyższył o sto i więcej procent ceny tytoniu, cygar i papierosów.

Przed paru dniami grałem z mężem królowej Wilhelminy we ferbla. Szczęście mi służyło — wygrałem.

O dalszym przebiegu obrad w Hadze doniosę.

Sługa

Kacper Krupa

Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr 19780.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Ja poszadam czterech synów —
Pięknoszczą sze odznaczają —
Mają wigląd Apolinów,
Wszyscy ich też podziwiają.
Uni mają rude włosy

Jak korkociągi skręcone,
Greckie, zakrzywione nosy
I na gębie są czerwone.
Jeden Berkiem jest nazwany —
Drugi Ickiem jest ochrzczonym,
Trzeci Szlojmom jest wołany,
A czwarty Napoleonem.
Wiele miałem ja radości
Z tymi moimi synami,
Aże niedawnej to przeszłości
Zostali fotbalistami.
Dumny byłem bardzo z tego —
Gazety o nich pisały —
Jak wśród placu sportowego
Pięknie z nogami machały.
Za wstęp na to ich machanie
Ludzie tysiące płacili —
Bohaterów im nazwanie
Furt dawali — bardzo czcili.
Oni nawet wyjeżdżali
Za granice, gdzie ich czczono,
Gdzie z nogami tak machali,
Że okropnie ich wielbiono.
Ale Berek syn mój drogi,
Bo to sprawa była taka,
Złomił sobie obie nogi,
Teraz chodzi jak pokraka.
Ickowi pośród zabawy,
Co buł najpiękniejszy z gęby,
Dokuczył los bardzo krwawy —
Wybito mu wszystkie zęby.
Szlojme bardzo ukochany,
Co gorącej był natury,
Bramkarz ceniony i znany
Dostał okropnej ruptury.
W końcu Napoleonowi,
Co buł fotbalista smoczy,
Dwaj bramkarze fotbalowi
Wybili piłkami oczy.
Teraz moje syny drogie,
Moja radość, moja duma,
Gdy ich dręczą losy srogie,
Mogę oddać do Barnuma!
Lecz złe ma też dobrą stronę,
Nie rozstanę się z synami,
Bo nie będą zastrzelone,
Bo nie będą żołnierzami!

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Felieton składany).

I. Na letnisku.

(niewielka przesada)

OSOBY:

Właściciel willi (sam). Djabli wiedzą do czego to jeszcze dojdzie. Kradną i kradną! Z pod ręki! Wczoraj znów wykopali dwa drzewka owocowe! Całe drzewa wykopali i wynieśli! Co tu zrobić?

Stróż (wchodzi). Niech będzie pochwalony!

Właściciel. Na wieki wieków. Cóż powiecie Walenty?

Stróż. Ano nic, proszę łaski pana, tylko...

Właściciel. Tylko co?

Stróż. Ano, w nocy, niby tego, ukradli...

Właściciel. Znowu coś ukradli? Rany boskie! Co znowu?

Stróż. Ano ukradli kurnik!

Właściciel. Jakto, murowany kurnik?

Stróż. Ano, jak go murowali, to był wmurowany. A mówiłem, nie trza murować, postawić zwyczajny i basta! Ale pan się upierał, no i stanął kurnik. A w nocy, to go ci wymurowali na glanc, zabrali razem z kurami, gęsiami, kaczkami, koguta...

Właściciel. Wielki Boże, w jaki to sposób?

Stróż. A bo to można wiedzieć? Tak przed wieczorem powiada mi niby moja: Idź do lasu po drwa! a ja: Nie pójdę, bom je tu potrzebny. A ona: Idź grdyniu jeden, bo czem będę paliła? A ja: To se sama idź. A ona: Ty taki, ty owaki, to ty mnie tu rozkazował bandziesz? Wywyrła baba p y s k j a k s i ę p a t r z y, ja na nią, ona na mnie, nareszcie złapała dzieżkę i jak ci mnie prask prze łeb, to świętego Jura zobaczyłem. Myślę sobie: Co ja tu będę z babą się spierał? Wziąłem powróz i poszedłem do lasu. Wracam, a tu...

Właściciel. Kurnika niema?

Stróż. Bogać tam! Wracam, a kurnik jak stał, tak stoi. No, myślę sobie, dobra jest! Zgotowaliśmy wieczerzę, kluski lane na mleku. Zjedliśmy i spać. Rano wstaję patrzę...

Właściciel. A kurnika już niema?

Stróż. Bogać tam niema! Je! Dopiero później, chcę dać kurom jeść, a tu niema ani kurów, ani kurnika, ani gęsiów, ani kaczek, ani kogu...

Właściciel. Dobrze już!

Stróż. Wymurowali go na glanc, że tylko dół ostał! Dobra robota, krakowska robota!

Właściciel. Dobrze już, dobrze! Idźcie teraz i pilnujcie, żeby czasem stodoły nie ukradli. Niech Józiek i Szymek staną z kijami przy stodole! Żywo!

Stróż. Ale, ale! Czy kto słyszał kiedy, żeby stodołę ukradli? Ale chłopów swoją drogą postawię. (wychodzi).

Stróż. (wbiega po chwili). Rany boskie, o rany!

Właściciel. Co się stało?

Stróż. Ukradli.

Właściciel. Stodołę?

Stróż. Nie!

Właściciel. A co?

Stróż. Pani posadziła małego Jasia w krzakach na porceneli i poszła. Wraca, a tu porcenele z pod dziecka ukradli!

Właściciel. Coś okropnego! Na co oni się łaszczą! Jazda, pilnować stodoły (stróż wychodzi). Jutro wracam do miasta. Ani chwili spokoju żeby człowiek nie miał!

Stróż. (wbiega). Znowu ukradli!

Właściciel. (zrywa się z miejsca). Co znowu? Stodołę?

Stróż. Nie, ino tych chłopców co pilnowali stodoły.

Właściciel. Co takiego? Chłopów?

Stróż. Dyć sprawiedliwie mówię. Ukradli Józka i Szymka!

Właściciel. Może sami gdzieś poszli?

Stróż. Gdzie mieli chodzić? Marcinowa z przeciwka widziała jak ich nieśli powiązanych.

Właściciel. (sięga do biurka i wyjmuje rewolwer). Macie tu rewolwer i jazda pilnować stodoły. Gdyby chcieli i was ukraść, to strzelajcie!

Stróż. (ogląda podejrzliwie rewolwer). A czy on czasem nie wystrzeli?

Właściciel. Jak nie naciśniecie, to nie wystrzeli. Jazda!

Stróż. (bierze ostrożnie rewolwer i wychodzi).

Właściciel. Do czego to jeszcze dojdzie? Już kradną chłopów!

Stróż. (wślizguje się). Proszę łaski pana...

Właściciel. Dlaczego nie pilnujecie stodoły?

Stróż. Już kaput. Ukradli.

Właściciel. Co? Stodołę?

Stróż. A niby tego, właściwie że stodołę! Rozebrali i wynieśli. Ostał tylko dół, jak po kurniku, ale sprawiedliwie powiedzieć...

Właściciel. To co?

Stróż. To trochę większy jak po kurniku.

Właściciel. Zgłupieliście, czy co? Kiedy zdążyli?

Stróż. Jak ja tu rapertowałem panu o tych chłopach, to oni tymczasem rozebrali i wynieśli. To śprytne bestje! Na glanc rozebrali. Może pan łaskaw sam zobaczyć.

Właściciel. Dobrze, idę. Chodźcie ze mną! (wychodzą).

Wchodzi 4 drabów, którzy wynoszą z pokoju meble.

Właściciel. (wraca). Gdzie są meble? Ukradli! Moje meble! Moje rzeczy! Walenty, Walenty, gdzie jesteście! Meble ukradli!

Za sceną rozlega się wystrzał. Właściciel wybiega. Po chwili wraca.

Właściciel. Ukradli stróża. Nie, ja mam tego dosyć. Pal djabli wszystko, wracam do miasta. Wszystko mi ukradli, wszystko, nawet stróża!

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu P. w Białym Dunajcu. Redaktor nasz mógłby obecnie przyjechać, ale nie wie czy pan dalej trwa w swym zamiarze.

Anonimowi. Fakt oszustwa popełnionego przez hotelarza na artyście jest ciekawy — sami posiadamy inny jeszcze dowód, że ten pan nie cofa się przed pospolitem oszustwem. Ale list pański jest anonimowy, a my nie mamy czasu na badanie prawdziwości przytoczonego faktu. Podpisz się pan, powołaj na świadków — a oszustwo napiętnujemy.

NADESŁANE.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski   Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.